

**ARTHUR
CONAN DOYLE**

GROŹNY CIEŃ

Arthur Conan Doyle

Groźny cień

«Public Domain»

Doyle A.

Groźny cień / A. Doyle — «Public Domain»,

Szkocja za czasów wojen napoleońskich. Krótco po ukończeniu szkoły przez Jacka Caldera do jego domu rodzinnego przybywa kuzynka, piękna Edie, której ojciec — brat ojca Jacka — niedawno zmarł. Ta zadziwiająco piękna młoda dama, wykształcona, bogata, o nienagannych manierach szybko skrada serce kuzyna oraz jego przyjaciela. Wkrótce jeden z nich zostaje odrzucony, ale po ukojeniu bólu młodzieńcy wciąż się przyjażnią. Pewnego dnia ratują umierającego młodego żołnierza, bogatego cudzoziemca. Niebawem okaże się, że jego obecność wprowadzi zarówno miłosny ferment, jak i wojenne obawy... Artur Conan Doyle to szkocki pisarz tworzący w drugiej połowie XIX i pierwszej XX wieku. Znany przede wszystkim jako autor cyklu przygód Sherlocka Holmesa. Groźny cień to jego powieść z 1892 roku.

Содержание

Rozdział pierwszy. Noc sygnałów	5
Rozdział drugi. Edie z Byemouth	14
Rozdział trzeci. Cień na wodach	20
Конец ознакомительного фрагмента.	26

Arthur Conan Doyle

Groźny cień

Rozdział pierwszy. Noc sygnałów

Otom jest, który piszę, ja Jock Calder z West Inch'u, w wieku lat pięćdziesięciu i w połowie dziewiętnastego stulecia jeszcze w pełni władz wszystkich, zdrów na ciele i na duszy.

Żona zaledwie raz na tydzień dopatrzyć może na skroni jakiś tam jeden siwiejący włos i wyrwa mi je dosyć gniewnie, choć nie rozumiem, co właściwie jej na tem zależy?

Nie mam po prostu czasu myśleć o takich drobnostkach, teraz szczególnie, gdy więcej niż kiedykolwiek czuję, że jestem już człowiekiem z bezpowrotnie minionej epoki, i że życie moje płynęło jednakże w okresie, w którym sposób myślenia i działania różnił się tak od dzisiejszych, jakby ci ludzie pochodzili nie sprzed ćwierć wieku, a z jakiejś innej, dalekiej planety.

Kiedy, na przykład, przechadzam się wśród pól i zieleniejących łąnów, a spojrzę tam, – w stronę Berwick, – dostrzegam liczne, splecione sznurki białawego dymu, który mówi mi o tym dziwnym, nowym potworze, żywiącym się węglem, i który w cielsku swoim ukrywa do tysiąca ludzi, i snuje się bez końca wzdłuż granic.

W dni bardzo pogodne dojrzeć mogę bez trudu nawet czerwone błyski miedzianych kominów, skoro ów potwór kieruje się ku Corriemuir. A gdy obejmę wzrokiem sine, kłębiące się morza, dostrzegam go znowu, czasem dwa, częściej jeszcze kilkanaście żelaznych potworów i od cielsk dziwnych nie umiem już oderwać oczu... Przejście ich w wodzie znaczy biała smuga, w powietrzu czarny ślad posępny, pod wiatr idą z większą łatwością niż łosoś, płynący w górę Tweed'y.

I wyobrażam sobie, że na podobny widok mój ojciec oniemiałby chyba z zdumienia, a więcej może jeszcze z gniewu, bo starowina miał w duszy tak głęboko zakorzeniony lęk obrażenia czemkolwiek Wszechmocnego Stwórcy, że ani słyszeć nie chciał o „niewoleniu” natury i naginaniu jej do celów ludzkich, a wszelkie inowacye graniczyły w umyśle jego nieledwie z bluźnierstwem.

Bóg stworzył zwierzę pociągowe, konia.

A zuchwały śmiertelnik z pod Birmingham'u wymyślił, zuchwalszą jeszcze od siebie, maszynę.

I dlatego mój poczciwy ojciec upierał się przy wyłącznem używaniu siodła i odwiecznych ostróg, uświęconych tradycjami przodków. Ale niemniejby się z pewnością zdziwił, gdyby mu było danem oglądać spokój i chęć czynienia dobrego, jakie królują teraz w sercach ludzi, gdyby mógł czytać dzienniki i słyszeć to, co mówią wszyscy, – że już nie trzeba wojny, – prócz, rozumie się, konieczności poskramiania negrów i tym podobnych niemiłych Bogu, czarnych stworzeń.

Bo przecież, – kiedy umierał, – biliśmy się i biliśmy się bez przerwy, – jeśli pominiemy krótki, zaledwie dwuletni rozejm – prawie już ćwierć wieku.

Zastanówcie się nad tem, wy, którzy prowadzicie teraz spokojne i bez żadnych wstrząśnień gwałtowniejszych, życie.

Toż dzieci, zrodzone podczas wojny, stawały się dojrzałymi ludźmi, którzy z kolei mieli swoje dzieci, a krwawy odbłask bitew i stłumiony huk strzałów ciągle jeszcze napełniał Anglię trwożnym, śmiercionośnym szmerem.

Ci, którzy poszli w służbę ojczyźnie w kwiecie wieku, w pełni sił młodzieńczych, doczekali się pochylonych pleców i siwizny, członki ich straciły jędrność i tężyznę, a wrogie floty i armie jeszcze walczyły, jeszcze się potykały i jeszcze ścierały bez końca.

I chyba nic dziwnego, iż wreszcie zaczęto uważać wojnę za stan zupełnie normalny, i że w okresach pozornego lub chwilowego pokoju doznawano uczucia jakiegoś szczególniejszego braku, czegoś, czego niedostawało.

A całe owo nieskończone ćwierćwiecze wypełniły wojny z Duńczykami, z Holendrami, z Hiszpanią, a potem biliśmy się z Turkiem, z Amerykanami, a potem jeszcze z zastępami z Montevideo.

Pamiętam, jak mówiono, że w tym powszechnym zamęcie, żadna rasa, żaden naród nie był w zbyt bliskim, albo w zbyt dalekim stopniu pokrewieństwa, by uniknąć wplątania w ów wir olbrzymi, a złowieszczy.

Jednak przedewszystkiem i najwięcej biliśmy się z Francuzami, a wódz, który im przewodził, był człowiekiem, co natchnął nas wprawdzie niedoznaną nigdy przedtem trwogą, nieokreślonym lękiem, ale także i szczerym, głębokim podziwem.

My, żołnierze, chlubiliśmy się niby tworzeniem wyszydzających go piosenek, w pułkach krążyły ośmieszające go rysunki, zabawne anegdotki, i każdy z nas przeżywał go najchętniej szarlatanem, ale nie mogłbym zaprzeczyć, że przerażenie, jakie wzbudzał ten, upośledzonego wzrostu, człowiek, przesnuwało niby mgłą czarną, niby złowrogim cieniem całą bez wyjątku Europę, ani – że był kiedyś czas, w którym błysk płomienia, buchającego nagle nocą na wybrzeżu, wszystkie kobiety nasze rzucał na kolana i kładł karabiny w ręce wszystkich mężczyzn, zdolnych włączyć broń.

Zwał się niezwyciężonym i zwyciężał zawsze: oto straszny talizman, który towarzyszył tej dumnej postaci.

Sławę, powodzenie, szczęście, – wszystko niósł z sobą, wszystko stanowiło z nim nierozdzielalną jakby całość.

A w owych czasach wiedzieliśmy, że leżał oto przyczajony na północnym brzegu, a z nim sto pięćdziesiąt tysięcy wypróbowanych weteranów, co więcej, towarzyszyły im i statki potrzebne do przebycia zbyt niestety wąskiego kanału.

Stara to historia.

Każdy wie, w jaki sposób nasz mały jednooki i bezręki unicestwił i zniszczył ich flotę.

W Europie zostawała przecież ziemia, w której wolno było myśleć i wolno było mówić.

Zresztą, przy ujściu Tweed'y, na wielkiej wyniosłości, mieliśmy przygotowany sygnał na wypadek jakiegoś alarmu.

Był to rodzaj drewnianego rusztowania, usianego gęsto beczułkami ze smołą i mazią.

Doskonale pamiętam, jakem co wieczór wypatrywał oczy i drżałem, czy nie ujrzę krwawego odbłasku.

Miałem wprawdzie wtedy dopiero lat osiem, ale i „w tym wieku” można wziąć coś gorąco do serca, mnie zaś zdawało się, że losy ojczyzny zależą w ten sposób poniekąd ode mnie i bystrości moich oczu.

Aż pewnego wieczora, kiedy, jak zwykle, patrzyłem w ciemności, jak w tęczę, dostrzegłem nagle coś niby blade światelko, migocące tuż około sygnałowego pagórka, a potem czerwony jęczyczek płomienia, który jął śpiesznie lizać smolne drzewo.

Jak dziś, przypominam sobie, że przetarłem kilkakrotnie, prawie do bólu, powieki i pokrwawiłem ręce o kamienne ramy okna, by przekonać się niezawodnie, iż nie śnię.

Tymczasem płomień rósł istic z zawrotną szybkością, po chwili szkarłatny blask upadł na wodę i drgał niby złoty wąż ruchomy, ja zaś wpadłem jak nieprzytomny do kuchni.

Tu urywanem głosem oznajmiłem ojcu, że Francuzi musieli przepłynąć nasz kanał, bo sygnał przy ujściu Tweed'y pali się wielkim płomieniem.

Rozmawiał wtedy z panem Mitchellem, studentem prawa z Edynburga.

Chwilami zdaje mi się, że widzę go jeszcze, wytrząsającego popiół z ulubionej fajki, i że słyszę, jak pyta, patrząc na mnie przez wierzch dużych okularów w rogowej oprawie.

– Czy pewien tego jesteś, Jock'u?

– Tak pewien, jak zdrow i żywy – odparłem zadyszczonym głosem, cały przejęty ważnością własnej osoby i chwili.

Ojciec pochwycił Biblię, leżącą na stole, rozłożył ją na kolanach, jakby miał zamiar przeczytać nam jakiś wyjątek, otworzył prędko, zamknął jeszcze prędej i wybiegł pośpiesznie na dwór.

Student prawa i ja podążyliśmy za nim bez namysłu. Ojciec otworzył małą, okratowaną furtkę, tego umocowaną w murze i wychodzącą na główny gościniec.

I nagle oślepił nas sygnał, teraz już jeden wielki, gorejący słup płomieni, niby krwawa pochodnia na czarnym tle nieba, a za tym, gdzieś na północ, może koło Ayton, drgał drugi, mniejszy i nie tak złowrogi.

Za chwilę matka wyniosła dwa pledy, gdyż noc była niezwykle zimna, i zostaliśmy tak aż do rana, zrzadka tylko zamieniając po kilka słów trwożnym, przyciszonym szeptem.

Droga tymczasem zarośla się ludźmi, i wkrótce czerniło się ich więcej, niż tych, co przez cały dzień poprzedni mogli iść tędy i jechać. I ciągle prawie dostrzegałem jakąś twarz znajomą, byli to przeważnie okoliczni nasi dzierżawcy, którzy przedtem jeszcze zaciągnęli się w ochotnicze pułki w Berwick, a teraz pędzili, co koń wyskoczy, by stawić się do apelu, bo sygnał przecież oznaczał wołanie ojczyzny.

Niektórzy nie skapili widać przed odjazdem strzemiennego, bo jechali butnie, z okrutną fantazją.

Nie zapomnę nigdy jednego, który przemknął tuż koło nas, na wielkim białym koniu, zapamiętałe wywijając ogromną zardzewiałą szablą, lśniąca w świetle księżyca, niby zielono-niebieska, krwawymi plamami poznaczona smuga.

A wszyscy wołali, mijając, że sygnał z North Berwick Law cały gorzej i że alarm rozpoczął się prawdopodobnie od strony edynburskiego Zamku.

Potem śmignęła nieliczna garstka jeźdźców w przeciwnym kierunku, byli to kurierzy, wysłani do stolicy Szkocyi, wśród nich dojrzałem spokojną twarz syna pewnego szlachcica, za nim jechał master Playton, podszyf i jeszcze kilku innych w podobnej godności.

Pomiędzy tymi „innymi” wyróżniał się przystojny, tęgi mężczyzna, siedzący na pięknym, dereszowatym rumaku. Przejeżdżał tuż koło muru i zatrzymał się przed naszą furtką, pytając o dokładną drogę.

– Jestem najmocniej przekonany, że to fałszywy alarm – odezwał się nagle pełnym przekonania tonem. – Spokojnie mogłem zostać w domu, ale kiedym już ruszył, nie widzę nic lepszego, jak spożycie śniadania przy pułku.

Spiał ostrogami konia i wkrótce zniknął wśród zielonych, falujących wzgórz.

– Znam tego człowieka – szepnął student, ruchem głowy wskazując oddalającego się jeźdźcę, – to pewien prawnik z Edynburga, układa wspaniałe wiersze. Nazywa się Wattie Scott.

Wprawdzie żaden z nas nie słyszał wtedy jeszcze o takim poecie, niewiele jednak dni minęło, kiedy imię jego stało się rozgłosne w całej Szkocyi.

I nieraz potem wspominaliśmy pięknego jeźdźcę, który pytał nas o drogę podczas tej straszliwej nocy.

Nad rankiem przecież ochłonęliśmy trochę na duchu.

Było pochmurno, łąki i pola przesnuła mgła szara i gęsta, czyniło się dojmujące zimno.

Matka wróciła do domu, chcąc zagrzać nam trochę hebraty, a prawie jednocześnie nadjechała bryczka, wioząca doktora Horscroffa z Ayton i jego syna, Jim'a.

Doktor nasunął aż na uszy wysoki kołnierz swego brązowego płaszcza, twarz miał gniewną i mocno nasepioną i opowiedział na wstępie, że Jim, ujrawszy sygnały, jeden z pierwszych popędził do Berwick, zabierając ze sobą nowiuteńką dubeltówkę ojca.

Biedny pan Horscroft całą noc strawił na szukaniu syna i teraz prowadził go w charakterze, buntującego się co chwila, więźnia, – błyszcząca lufa fuzyi wychylała się ponętnie z pod siedzenia bryczki...

Mina Jima, piętnastoletniego wyrostka, dla którego miałem zdawna wielkie uwielbienie, gniewniejsza jeszcze była, niżli surowa twarz ojca, brwi ściągnięte, pogardliwie wydęta dolna

warga i ręce, niedbale wetknięte w kieszenie, zdawały się trochę wyzywać, trochę urągać władzy rodzicielskiej...

– A wszystko kłamstwo – dodał na zakończenie zirytowany eskulap. – Tamtym ani się śniło lądować, ci głupi Szkoci napróżno tylko zalegli Bogu ducha winne drogi!

Jim nie mógł już tego najwidoczniej słuchać i wydał jakiś głos nie ludzki, za co oberwał od ojca przyzwoitego szturchańca.

Uderzenie miało przynajmniej ten skutek, że chłopak zwiesił głowę z pokorą na piersi i siedział już spokojnie, nieczuły i obojętny na wszystko.

Mój ojciec kiwnął tymczasem w zamyśleniu ręką, trochę jakby z żalem, gdyż lubił niezmiernie Jim'a, a potem wróciliśmy do domu, żartując z małego wodza, głównie jednak mrugając zawzięcie oczami, które kleiły się same, teraz, kiedyśmy już wiedzieli, że nie ma niebezpieczeństwa.

A przecież każdy z nas uczuwał coś, niby dreszcz wielkiej radości, tak wielkiej, jakiej doświadczyłem potem raz jeszcze, dwa najwyżej w życiu.

Tutaj zarzuci mi ktoś może, iż wszystko, co mówię, niezupełnie odnosi się do tego, com przedsięwziął opowiedzieć, ale skoro się ma dobrą pamięć, a przytem bardzo mało wprawy, trudno niezmiernie jedną myśl choćby z mózgu przelać na cierpliwy papier, żeby nie pojawiło się dwanaście innych, równie żadnych utrwalenia atramentem.

Zresztą, teraz, kiedy myślę nad tem wszystkim głębiej, dochodzę do wniosku, że opisane powyżej zdarzenie nie jest tak bardzo obce tym, które opowiem tu wkrótce, gdyż Jim Horscroft miał w skutku owego zajścia tak gwałtowną rozmowę z zapalczywym ojcem, że go niezwłocznie wyprawiono do kolegium w Berwick, a ponieważ mój znowu ojciec oddawna już nosił się z projektem umieszczenia tam mnie także, skorzystał teraz z przypadkowej, pomyślnej okoliczności i wysłał mnie z nim razem.

Zanim jednak wspomnę tu cokolwiek o tej szkole, muszę powrócić do punktu, od którego powinien byłem zacząć i oznajmić, kim właściwie jestem, bo mogłoby się zdarzyć, że te własnoręcznie pisane kartki znajdą się nagle wśród ludzi, zamieszkujących zdala od naszego „brzegu” i którzy naprzykład, nigdy nie słyszeli o rodzinie Calder'ów z West Inch'u.

West Inch, prawda jak nazwa brzmi arystokratycznie? A jednak mizerna to posiadłość i dom zwykły, najzwyklejszy.

Spory szmat ziemi, stanowiącej wprawdzie doskonałe pastwisko dla owiec, po którym przecież większą część roku wiatr wyprawia niczem niewstrzymane harce zimny, pełen złowrogich świstów, wiatr północny.

Ciągnie się długim pasem wzdłuż wybrzeża i krawędzi szeroko omywają zielone, słone, fale.

Tylko tyle, ile oszczędny, ciężko pracujący człowiek może wydobyć z niej na cały dach nad głowę i na chleb z masłem w święta, zamiast mało pożywnej melasy.

Mniej więcej w pośrodku owego spłachcia ziemi wznosi się dom z kamienia, pokryty jeszcze łupkiem i od tyłów przyozdobiony zacisznym, dużym gankiem.

Na kamiennym progu widnieje grubo i nieudolnie wykuta data roku 1703-go.

Dom ten od stu lat przeszło należy do naszej rodziny, która, pomimo ubóstwa, cieszy się w okolicy nieskażoną cnotą i niebyłym wpływem, gdyż tutaj, u nas, większy nieraz szacunek zdobyć może ubogi dzierżawca niż nowoprzybyły, bogatszy, ale nieużyty szlachcic, posiadacz znacznych choćby ziemi.

A domek w West Inch'u szczyci się przytem szczególną własnością.

Kiedyś, mianowicie, kiedyś, inżynierowie i inni jeszcze kompetentni, orzekli, że linia łącząca i rozdzielająca zarazem dwa kraje, biegnie z całą dokładnością przez środek naszego mieszkania, w ten sposób, iż najwspanialszy z pokoi sypialnych przecina niejako na dwoje, na dwie połowy: angielską i szkocką.

Przytem łóżeczko moje zdawien dawna dumne było tym szczegółem, że „głowy” kierowały się ku północnej, „nogi” ku południowej granicy.

Przyjaciele moi utrzymują, że gdyby przypadek umieścił był nieszczęsne łóżko w położeniu akurat przeciwnym, zarost miałbym może jaśniejszy i nie tak czerwony, umysł zaś lotniejszy, nie tyle „uroczysty”.

Na obronę swoją to tylko powiedzieć mogę, iż raz jeden w życiu, kiedy moja ruda, szkocka głowa nie nasuwała mi żadnego sposobu wywinięcia się z niebezpieczeństwa, mocne, wypróbowane nogi Anglika przyszły mi z pomocą i lotem wichru uniosły daleko.

Za to w szkole nieszczęśliwa owa własność stawała się powodem nieskończonych z kolegami zatargów i źródłem niezliczonych przezwisk, – jedni ochrzczili mnie przydomkiem „Grog z wodą”, dla innych byłem „Wielką Brytanią” inni jeszcze nadawali mi miano „Unii Jacka”.

Najgorsze cięgi spadały na mnie wtedy, kiedy pomiędzy małymi Szkotami i Anglikami zachodziła jakaś walna bitwa! Bo pierwsi zasypywali mnie gradem kopnięć i szturchańców w nogi, a kułaki i targania drugich najlepiej odczuwały moje uszy.

A potem zarządzano krótkie „zawieszenia” broni i obydwie obozy wybuchały przeciągłym, głośnym śmiechem, jakby osoba moja doprawdy przedstawiała coś niezwykle zabawnego.

Toteż w początkach pobytu w szkole w Berwick czułem się ogromnie nieszczęśliwy.

Starszym nauczycielem był pan Birtwhistle, młodszym – Adams, nie umiałem jednak się przywiązać do żadnego.

Z natury nieśmiały, małomówny i zamknięty w sobie, jak cień snułem się pomiędzy kolegami, upływały dni, tygodnie i miesiące, a ciągle jeszcze daleki byłem od zjednania sobie profesorów, od zawarcia przyjaźni z którymkolwiek z towarzyszy.

A Berwick od West Inch'u dzieliło mil dziewięć w prostej linii, jedenaście i pół, jeśli jechało się gościńcem.

Więc moje małe serduszko ścisnęło się na samo wspomnienie tych nieskończonych obszarów, zalegających między mną i matką!

Pomyślcie tylko! Cóż, że malec „w tym wieku” udaje czasem dojrzałego i rad okazuje, że umie już obejść się bez pieczyń macierzyńskich? Ale kiedy wezmą go za słowo i oderwą z kochającego łona, cierpi gorzko i tem ciężiej, im mniej chciałby się do tego przyznać.

Wkońcu nie mogłem tak dłużej wytrzymać, postanowiłem uciec co rychlej ze szkoły i wrócić do matki, do ukochanego domu.

Ale nigdy nie miałem szczęścia, bo trzebaż trafu, że – w ostatniej chwili, – dostąpiłem zaszczytu ściągnięcia na siebie pochwał i uznania wszystkich, całego personelu collegium, począwszy od dyrektora, a skończywszy na najostatniejszym uczniu, – co oczywiście zmieniło do gruntu warunki i życie w szkole uczyniło bardzo pożądanem i przyjemnem.

A wszystko z powodu wypadku, jakiemu uległem, wyróciwszy – najzupełniej niechcący – koziołka przez okno drugiego piętra do ogrodu.

Oto jak rzecz się miała.

Pewnego wieczora Ned Barton, starszy kolega i kat całej szkoły, wybił mię tak mocno i obdarzył takim mnóstwem potężnych kułaków, iż upokorzenie owo, przydane do reszty moich zgryzot, przepełniło i tak pełen już kielich dziecinnej goryczy.

Ukryłem pod kołdrą twarz zalaną łzami i tłumiąc łkanie, przysięgłem sobie gorąco, że ranek jutrzejszy zastanie mię w West Inch'u, a conajmniej gdzieś blisko domu.

Wprawdzie sypialnia nasza znajdowała się na drugim piętrze, słynałem jednak ze zwinności i nie doznawałem zawrotu głowy na najbardziej niebotycznych drzewach.

Nigdy nie uczuwałem też najmniejszej trwogi, kiedy w West Inch'u spuszczałem się z folwarcznego muru, po sznurze wprawdzie, i mocno nim w pasie owiązany, ale z wysokości pięćdziesięciu trzech stóp od powierzchni ziemi!

Stąd ani mi przez myśl nie przeszło, bym nie potrafił wymknąć się z sypialni i z pod czujnego oka srogiego pana Birtwhistle'a.

Czekałem tylko niecierpliwie, aż ustaną szepty, słowem wszelki ruch w pokoju, co zwiastowałoby zaśnięcie wszystkich.

Kiedy ustały wreszcie najdrobniejsze nawet szmery, a tu i owdzie ozwało się nawet chrapanie i z długiej linii drewnianych łóżek cicho i równo jał dobiegać miarowy oddech śpiących, podniosłem się z posłania bez szelestu, śpiesznie naciągnąłem na siebie ubranie, chwyciłem buty w rękę i powoli, na palcach, skierowałem się ku oknu.

Otworzyłem je cichutko i zagłębiłem wzrok w ciemną przestrzeń.

U stóp moich roztaczał się olbrzymi ogród, a tuż koło ręki zwisały wielkie konary rozłożystej gruszy.

Czegóż mógł żądać więcej chłopak lekki i zwinny, jakim ja wtedy byłem, – jedna chwila i zsunę się oto po gruszy, niby po drabinie.

A raz znalazłszy się w sadzie, muszę przeskoczyć tylko mur, pięć stóp wysoki, istna fraszka.

Potem zaś jedynie pozostanie przestrzeń, dzieląca mnie od domu ojców.

Ująłem więc silnie zbawczą gałąź, oparłem kolano na innej, trochę grubszej i miałem już wyskoczyć z okna, gdy nagle znieruchomiałem, zastygłem, zmieniłem się w kamień.

U szczytu szkolnego muru ciemniała jakaś twarz nieznana, tak zwrócona, jakby patrzyła tu, – ku mnie.

Dreszcz lodowaty przebiegł moje ciało i zaraz zacząłem drżeć mocno, tak dziwnie przeraziła mnie ta twarz blada, o mur oparta, trwająca bez ruchu.

Po chwili księżyc oblał ją martwym, zielonawym światłem i wtedy dojrzałem oczy skrzące się i biegające niespokojnie, kilkakrotnie nawet podniosły się w górę, ale mnie nie dostrzegły pod gęstą osłoną liści gruszy, które okrywały mnie, niby firanką.

Potem, gwałtownym ruchem, twarz dzwignęła się wyżej i ukazała długą, obnażoną szyję.

Minęło jeszcze kilka sekund i zaczętniały ramiona, tułów, wreszcie kolana obcego człowieka.

Usiadł teraz na murze, jak na koniu, schylił się i wkrótce, z widocznym wysiłkiem, przyciągnął ku sobie jakiegoś chłopca, mego mniej więcej wzrostu, który dyszał ciężko i łkał cicho, zatykając usta ręką.

Starszy poszturchiwał go ciągle i szeptał coś groźnym głosem, krzywiąc się przytem szkaradnie.

Następnie obaj położyli się na ziemi i jęli pełzać ostrożnie, kryjąc się w trawach, to wychylając znowu.

Wkrótce znikli mi z oczu, ja zaś pozostawałem ciągle w tej samej pozycji, z jedną nogą na gruszy, a drugą na występie okna, nie śmiejąc się poruszyć, – trochę ze strachu i trochę z obawy zwrócenia ich uwagi, zresztą, – po chwili, – dostrzegłem znowu dwie sylwetki, skradające się jakimś wilczym, złym, kurczowym ruchem, w linię cienia, rzucanego przez gmachy kolegium.

I nagle, tuż pod memi stopami, rozległ się szczęk głuchy czegoś żelaznego, a potem ściszone, przeciągłe dźwięczenie szkła, upadającego na ziemię.

– Zrobione – szepnął mężczyzna grubym, ochrypłym głosem – włącz teraz, a prędko!

– Ależ otwór jest najeżony odłamkami szkła potrzaskanego – broniło się dziecko, całe drżące z trwogi.

Z ust złodzieja wybiegły jakieś gniewne słowa.

– Włącz, mówię ci, przekłety szczeniaku! – zasyczał ze złością – albo...

Nie mogłem dojrzeć co uczynił, tylko prawie jednocześnie przypłynął do mnie stłumiony jęk bólu.

– Idę, już idę – bełkotał niewyraźnie nieszczęśliwy malec.

Nie słuchałem dłużej, bo nagle – zakreśliło mi się w głowie...

Pięta zsunęła się z gałęzi...

Krzyknąłem strasznie i całym ciężarem moich dziewięćdziesięciu pięciu funtów spadłem na pochylony grzbiet złodzieja.

Nie wiem, jak się to stało, i dziś nawet nie umiałbym powiedzieć, czy to był wypadek, czy też skoczyłem umyślnie.

Być może, iż zamierzałem właśnie to uczynić, kiedy pośliznęła mi się noga i przypadek rozstrzygnął trudną kwestię.

Człowiek ów schylał się właśnie i wyciągając długą szyję, pomagał malcowi przedostać się przez zbite okno, kiedy, jak ciężki pocisk, zwałił się na niego, przytłaczając w miejscu, gdzie szyja staje się tak zwaną pacierzową kością.

Wydał tylko rodzaj urywanego, świszczącego krzyku, padł na wznak i potoczył się ciężko, głęboko ryjąc ziemię.

Towarzysz jego dał susa w bok i w mgnieniu oka zniknął poza murem.

Ja zaś usiadłem w trawie i jałem wrzeszczeć w niebogłosy, usiłując jednocześnie rozcierać prawą swoją nogę, w której uczuwałem ból tak nieznośny, jakby ją kto ścisnął w rozpalone do białości kleszcze.

Nic więc dziwnego, że nie upłynęła chwila, kiedy dom w pełnym komplecie, z dyrektorem na czele i stojącym, niosącym latarnię, zbudził się i biegł do sadu.

Tutaj wyjaśniono sprawę w oka mgnienia.

Jęczącego złodzieja umieszczono na zerwanej okiennicy i zabrano pod silną eskortą.

Mnie zaś poniesiono w tryumfie i złożono troskliwie w specjalnej sypialni, gdzie wkrótce przybył chirurg Purdie, młodszy z dwóch lekarzy, noszących to słynne nazwisko, i umiejętnie złożył moją połamaną goleń.

Potem opatrzone rzezimieszka, doktor orzekł, iż obiedwie nogi ma sparaliżowane i na razie nie wiadomo, czy kiedykolwiek odzyska w nich władzę.

Prawo jednak nie czekało, aż medycyna wyjaśni tę kwestię, gdyż w sześć tygodni później skazano winnego na śmierć przez powieszenie i wyrok wykonano niezwłocznie, przy sądzie kryminalnym w Carlyle.

Ukarano go zaś z taką surowością nie tyle za ostatnią kradzież, ile że poznano w nim najzuchwalszego bandytę, jaki kiedykolwiek grasował na północy Anglii, na sumieniu zbrodniarza ciążyły podobno trzy jakieś ohydne morderstwa i niezliczona ilość win innych, za które powinien był już wisieć dziesięć razy.

Teraz jest chyba jasnym, że nie mogłem mówić wam o swej młodości, pomijając ten szczegół, najważniejszy i najdonioślejszy w skutki.

Na przyszłość również nie pozwolę się unieść opisywaniu żadnych pobocznych wypadków, gdyż skoro pomyślę o tem wszystkim, co z konieczności samej muszę tu zamieścić, widzę, że to istna gmatwanina – splątany misternie kłęb zdarzeń – i wtedy zaczynam wątpić, czy – rozwodząc się tak szeroko – dojrnę szczęśliwie do końca.

Bo jeśli ktoś opowiada tylko własne swoje życie, ściśle zamknięte w szczupłym kole wrażeń osobistych, – może mu to wprawdzie zabrać wiele czasu, lecz ma przynajmniej pewną linię wytyczną, którą się kieruje, – skoro jednak losy złączą czyjąś mizerną dolę z wypadkiem tak wielkiej wagi, jak te, które chciałbym tu poruszyć, – wtedy na każdym kroku napotyka się nieprzewidziane i coraz zawilsze do pokonania trudności, i podobno mądrze czyni ów, który w myśli kreśli przedtem całkowity plan i szkielet owej pracy.

Za to pamięć mam doskonałą i umysł, chwała Bogu, jeszcze nie zaćmiony, i staram się odtąd opowiadanie moje uczynić tak zwięzłym, jak tylko niem być może.

Owa przygoda z włamywaczem stała się otóż niejako zawiązkiem przyjaźni pomiędzy mną i Jim'em, synem doktora Horscroffa.

Nie znaczyło to wcale nic bylejakiego, bo Jim był chlubą szkoły i przywódcą wszystkich prawie od chwili wejścia do kolegium, gdyż w niespełna godzinę pobił się z Barton'em i przerzucił go przez wielką klasową tablicę, Barton'a, największego zawadykę i najsilniejszego z nas aż dotąd.

Przytem rósł i rozrastał się w oczach. Wtedy już był nad wiek wysoki, muskularny, barczysty, tęgi.

Ręce długie, prężne ruchy i pręższe jeszcze czyny, przydawały mu oczywiście w naszych oczach nadzwyczajnego uroku, kiedy zaś oparł o mur szerokie swoje plecy i pięści zagłębił w przepaściste kieszenie dolnego ubrania, a spojrzał z dumą, śmiało – drżeli i bali się wszyscy.

Pamiętam także, że miał zwyczaj żuć bezustannie słomkę i przytem trzymał ją w zębach jakimś szczególniejszym ruchem, tym samym, którym później pykał nierozłączną już fajeczkę.

Jim otóż stał się dla mnie niezmienny w złej i dobrej doli, od początku przyjaźni, od pierwszego dnia, kiedyśmy się zapoznali i zbliżyli.

Boże! Jakiśmy dla niego mieli podziw i szacunek!

Podówczas byliśmy wprawdzie wszyscy „jako te dzikie płonki”, ale też względy, któreśmy go otaczali, zawierały w sobie coś z bojaźni i zachwytu maluczki wobec oczywistej siły.

Kolegował przecież z nami Tom Carndale z Appleby, który sam potrafił układać wiersze alkaiczne i pięciostopowe, a heametrem władał, jak każdy z nas pięścią, – jednak nikt nie poświęciłby w obronie jego „czci” jednego szcztuka.

Był i Willie Earnshaw, który umiał na pamięć wszystkie daty, poczynawszy od zabójstwa Abla, aż do dni dzisiejszych, i to tak doskonale, że nauczyciele sami nieraz zwracali się do niego, skoro zdarzyły się jakieś w materii owej wątpliwości, cóż kiedy miał wązkie piersi, był wysoki i chudy jak tyczka, a w dniu, w którym Jack Simons, malec z trzeciej, zapędził go w róg korytarza, wywijając tylko paskiem z metalową sprzączką, – od śmiechu kolegów nie obroniły go nieskazitelne daty!

A niechby który spróbował postąpić tak z Jim'em Horscroffem!

Toż o jego sile krążyły wśród nas istne legendy, z ust do ust podawane z pobożnym przejęciem i z niekłamany zachwytem.

Czyż nie on to wyłamał drzwi dębowe, wiodące do sali gier, jednym uderzeniem pięści? Czyż nie on, w dniu, w którym duży Merridew zdobył piłkę, chwycił w pół wielkoluda i dobiegł do mety wyprzedziwszy jeszcze po drodze wszystkich innych przeciwników?

Stąd niejednemu z nas wydawało się nieraz godnym oburzenia, by zuch tej miary musiał łamać sobie głowę nad spondejami, albo daktylami, lub obowiązyany był wiedzieć, kto podpisywał *Charta Magna* – Ustawę Kardynalną – Kartę Swobód w Anglii?

I skoro kiedyś, wobec całej klasy, oświadczył, iż powołał ją do życia król Alfred, my, wszyscy młodzi, byliśmy przekonani, że tak właśnie odbyć się musiało i że Jim wie prawdopodobnie lepiej, niż ten, kto pisał nieszczęsny podręcznik.

Wypadek z włamywaczem od razu ściągnął szczególniejszą uwagę Jim'a na moją, podówczas mizerną, osobę.

Z powagą położył mi rękę na głowie i uroczyściej jeszcze oznajmił, że jestem skończonym wisusem, kto wie, może nawet wcielonym dyabłem, co napełniło mnie niezmierną dumą i przynajmniej z tydzień pyszniłem się nowym przydomkiem.

Potem zaś staliśmy się najserdeczniejszymi przyjaciółmi, a przyjaźń owa zacieśniała się przez następne dwa lata, nieledwie z każdym dniem więcej, pomimo różnic, jakie pomiędzy nami żłobiły nauki i szkoła; i chociaż popędliwość i nierozwaga pchnęły go do niejednego czynu, który w głębi martwił mnie, a nieraz ranił, kochałem go jednak jak najmilszego brata i dnia, któregośmy się rozstawali na dłużej, kiedy odjeżdżał do Edynburga, by tam poświęcić się studyowaniu zawodu swego ojca, doktora, dnia tego wylałem morza łez, zdolne zapełnić przynajmniej dwie butelki atramentu.

U pana Birtwhistle'a przebyłem pięć lat jeszcze i sam potem zostałem najgłośniejszym zawadyką szkolnym, wprawdzie byłem chuderławy i tak smukły jak prątek fiszbinu, ale moje żylaste i silne ramiona umiały nakazać sobie posłuch i szacunek, nie taki może, jaki wzbudzała pokaźniejsza postawa mego niezapomnianego poprzednika, jego bajeczne mięśnie i nieprawdopodobna waga, dostateczny jednak, by zapewnić sobie pierwsze miejsce wśród pocziwych towarzyszy.

Jakoś, pamiętam, w jubileuszowym roku, opuściłem przecież mury collegium Birtwhistle'a.

A potem trzy lata przebyłem w domu, ucząc się obchodzić z naszymi stadami, gdy tymczasem floty i armie ścierały się ciągle, – i posepny cień Bonaparte'go rozpościerał się bez końca nad moim umęczonym krajem.

Czy mogłem wtedy odgadnąć, że i ja również kiedyś przykładać się będę do odwrócenia tej chmury, która coraz niżej zwisała i niżej, i kładła się już prawie na potruchlałe głowy mojego narodu?

...

Rozdział drugi. Edie z Byemouth

Na kilka lat przedtem – przed powyższymi wypadkami, – kiedy jeszcze byłem prawie dzieckiem, zjechała do nas jedyna córka brata mego ojca i bawiła około pięciu tygodni.

Willie Calder w młodości jeszcze osiedlił się w Eyemouth, w charakterze fabrykanta sieci i z kręcenia sznurów potrafił ciągnąć bez porównania lepsze korzyści, niż my z piaszczystych, gdzieniegdzie tylko pokrytych janowcem „landów” w West Inch'u.

Toteż córeczka jego, Edie, zjawiała się u nas w ponsowym staniczku, w kapeluszu, który kosztował co najmniej pięć shilling'ów i w towarzystwie kufra, kryjącego takie cuda, że na widok ich nietylko mnie, ale i matce mojej paliły się oczy.

I dziwnie było patrzeć, jak sypała wokoło pieniądze, nie targując się, nie licząc, jakby bogaczka z bajki, – to dziecko, prawie siostra.

Woźnicy dała naprzykład wszystko, czego żądał, i jeszcze nowiuteńki, dwupensowy pieniądz, do którego nie miał najmniejszego prawa.

Z imbirowego piwa niewiele co więcej robiła sobie, niż ze zwykłej wody, do herbaty używała stale cukru, chleba nie umiała inaczej jeść, jak grubo posmarowanego masłem, – zupełnie jakby była prawdziwą Angielką.

Co do mnie, wtedy jeszcze nie zwracałem prawie uwagi na dziewczynki i zupełnie nie mogłem pojąć, w jakim celu zostały stworzone.

U Birtwhistle'a żaden z nas nie raczył o nich myśleć, a najmłodsi okazywali się najmądrzejszymi, bo który tylko podraستاł, zaraz – dziwnym zbiegiem okoliczności – okazywał się mniej stanowczy w tych, zdawało się, nie podlegających najmniejszej wątpliwości, kwestyach.

Najmłodsi bowiem zgadzali się jednogłośnie, że: stworzenie nie umiejące się bić, trawiące czas na powtarzaniu nudnych plotek i które nawet nie potrafi rzucić zwykłego kamienia inaczej, jak wymachując w powietrzu ręką tak niezgrabnie, jakby to chodziło o marny gałganek, – jest po prostu do niczego i nie zasługuje na jakie takie choćby względy.

Zresztą, – trzeba je widzieć, jak nadają sobie tony, myślałby kto, że stanowią ojca i matkę w jednej swej osobie, wtrącają się do naszych gier, do naszych zabaw i od czasu do czasu cedzą ze śmieszną wyższością: „Jimmy, goły palec wygląda ci z trzewika”, albo: „Idź do domu, brudasie, i umyj się, zanim „zechcemy” się bawić”... słowem, umieją tylko dokuczać i w owej epoce, każdy z nas co tchu zmykał na widok cienkich nóżek i krótkiej sukienki.

Skoro więc kuzynka Edie pojawiła się nagle w West Inch'u, nie zanadto byłem zachwycony perspektywą spędzenia wspólnych z nią wakacji.

Miałem wtedy lat dwanaście.

Edie była o rok młodszą.

Pamiętam jej szczupłą, wysoką sylwetkę, duże, czarne oczy, śmiałe ułożenie i dziwne maniery.

Najczęściej patrzyła gdzieś nieruchomo, przed siebie, z przymglonym trochę wzrokiem i rozchyłonymi ustami, jakby dostrzegała coś osobliwego, skoro jednak zbliżałem się na palcach i stawałem za nią, a potem zwracałem głowę w tym samym kierunku, widziałem tylko albo rodzaj sadzawki do dojenia owiec, albo ciemne stosy nawozu, lub wreszcie rozmaite części ojcowego ubrania, suszące się w słońcu.

A jeśli ujrzała kilka krzaków, albo kępę paproci, czy coś innego, równie pospolitego, wpadała w niezrozumiały, niemilknący zachwyt.

– Ach, jakież to piękne! Ach, jak tu prześlicznie! – szeptała leniwie, mrużąc oczy.

Myślałby kto, że podziwia obraz, albo jakiś słynny pomnik...

Nie lubiła gier wspólnych i rzadko bardzo udawało mi się namówić ją, żeby choć zabawiła się w kotka i myszkę, a i to odbywało się bez najmniejszego ożywienia, gdyż doganiałem zwykle

dziewczynkę w trzech skokach, ona zaś nie umiała przyłapać mię nigdy, choć robiła zamieszanie i podnosiła wrzawę za dziesięciu chłopców.

Zirytowany, zaczynałem jej dokuczać, mówiłem, że jest do niczego, że stryj mógłby zrobić coś lepszego, niżli wychowywać taką niedołęgę i inne podobne grzeczności, a wtedy Edie wybuchała płaczem, oznajmiała, że m bąk nieżnośny i głuptas, że odjedzie tego samego wieczora i nie przebaczy mi nigdy.

Ale nie upłynęło i pięć minut, kiedy zapominała o najsroższych swoich groźbach.

Co zaś było najdziwniejsze, to że daleko więcej miała do mnie przywiązania, niż ja do niej i dzień cały nie dawała mi spokoju.

Szukała mnie, gdy odbiegłem, wyszperała w najdoskonalszej kryjówce, wykrzykiwała wtedy z radością: „Ach! jesteś tutaj?!!” – i udawała zdziwioną.

Prędko jednak dostrzegłem w niej i dobre strony.

Od czasu do czasu wtykała mi przemocą kilka pensów, tak że raz zdarzyło mi się posiadać jednocześnie cztery, co mi się najlepiej jednak podobało, to opowiadane przez nią bajki.

Wiedziałem, że okrutnie boi się żab i ropuch.

Nie omieszkalem więc codziennie chwycić jednej i grozić, że włożę za kołnierz struchlałej ofiary, chyba... że opowie jaką ładną historyjkę.

Sumienie miałem spokojne, tłumacząc sobie, że tylko pomagam jej zacząć, bo skoro już raz wpadła w zapał, żadna siła nie mogła utrzymać potoku słów, płynących z koralowych ustek!

Potem zaś słuchałem niestworzonych bredni z zapartym prawie oddechem, cały w pobożnym skupieniu.

Więc w Eyemouth pojawił się kiedyś okrutny pirat, barbarzyńca.

Za pięć lat miał wrócić na okręcie, wyładowanym po brzegi samem złotem i pojąć ją, Edie, za żonę.

Kiedy indziej znów opowiadała, iż do Eymouth zawitał błędny rycerz i ofiarował jej pierścień, o który miał jakoby upomnieć się za blizkim powrotem.

Edie, mówiąc to, ukazywała mi obrączkę, do złudzenia podobną do tych, które podtrzymywały firanki mego łóżka i zapewniała, że jest zrobiona ze szczerzego złota.

W tem miejscu ośmielałem się głos zabrać i pytałem, co uczyni rycerz, jeśli się spotka z piratem?

Edie objaśniała bez wahania, że zmiecie mu zuchwałą głowę z karku za jednym zamachem!

Co oni widzieli w tej chudej, czarniawej dziewczynce?

To przewyższało już zakres mej inteligencji.

Potem zwierzała się jeszcze, iż w czasie podróży do West Inch'u pragnął się jej przedstawić pewien przebrany, niezmiernie bogaty, książę...

Tu już nie umiałem powściągnąć zdumienia i wyrażałem pewne wątpliwości, – po czem mianowicie mogła poznać księcia?...

– Po przebraniu – odcinała bez namysłu.

Innego znów dnia opowiadała w tajemnicy, że ojciec jej układa niezwykle trudną zagadkę, a kiedy będzie gotowa, ogłosi ją w dziennikach, kto zaś nadeśle rozwiązanie, otrzyma rękę córki i połowę majątku.

Wtedy wyrzekłem z dumą, że doskonale umiem zgadywać szarady, niechże więc przyśle mi tę, skoro tylko będzie ukończona.

Dziewczynka szepnęła, że zagadka pojawi się w „Gazecie z Berwick”, a potem koniecznie chciała się dowiedzieć, co z nią uczynię, skoro ją, Edie, otrzymam z łaskawych rąk ojca?

Odparłem, że sprzedam ją przez licytację, więc oczywiście temu, kto ofiaruje najwięcej, prędko jednak pożałowałem słów swoich, gdyż tego wieczora Edie nie chciała już opowiadać mi bajek, w niektórych razach okazywała się nieubłagana.

Jim Horscroft był nieobecny cały czas, który Edie spędziła w domu mych rodziców.

Powrócił dopiero w kilka dni po jej wyjeździe i pamiętam, jak mię niezmiernie zdziwiło, że raczył zadawać pytania i okazywać jakiegokolwiek zajęcie osobą zwyczajnej, na domiar nieznanej dziewczynki.

Więc pytał, czy ładna, a kiedym odrzekł, że nie uważałem, wybuchnął głośnym śmiechem, przezwiał mię skrytym i zapowiedział, iż wkrótce otworzą mi się oczy.

Potem jednak zajęliśmy się zupełnie czem innym i mała kuzynka na dobre wywietrzała mi z głowy, aż do dnia, w którym wzięła moje życie w swoje ręce i złamała, jak ja mógłbym złamać teraz gęsie pióro.

Stało się to w roku 1813-ym.

Opuściłem właśnie szkołę, – miałem już lat ośmnaście, co najmniej czterdzieści włosków na górnej wardze i nadzieję posiadania z czasem więcej.

I z chwilą rozstania się z murami zakładu czcigodnego pana Birtwhistle'a dziwnie się zmieniłem.

Unikałem towarzyszy, żadnej z gier nie umiałem oddać się z dawnym zapalem.

Za to wymykałem się na wybrzeże, albo w ciemnozielone zarośla janowców i tam, wyciągnięty na piasku, pozwalałem słońcu pieścić moje ciało, albo wpatrywałem się w dal, nieruchomo, nawpół bezwiednie rozchylając usta, zupełnie jak to czyniła dawniej mała Edie.

Dobre to były czasy! Wtedy radowało mię wszystko, a kiedy mogłem biec prędzej, lub skakać wyżej, niż mój bliźni, uważałem życie za rozkoszne i dostatecznie wypełnione.

A teraz, teraz, wszystko to wydawało mi się dzieciństwem i marnością.

Niezrozumiałe westchnienia poruszały moją pierś młodzieńczą, wznosiłem oczy ku jasnym błękitom niebios, to znów zatapiałem w szafirowoszmaragdowych głębiach pieniącego się u stóp mych morza.

Coś, jakby ciężar nieźnośny, tłoczyło mi myśli, czułem, że brak mi czegoś, nie umiałem jednak uprzytomnić sobie, coby to właściwie być mogło.

Stawałem się zły, zgorzkniały, – coraz gorszy i bardziej zniechęcony.

Niekiedy wydawało mi się, że każdy nerw czuję, że wszystkie są we mnie chore, i tak naprężone, iż którykolwiek lada chwila pęknie.

Matka często zatrzymywała na mojej twarzy niespokojne, troską zasnute oczy i pytała zcicha, czy mi co nie dolega, ojciec od czasu do czasu napomynał o potrzebie bardziej wyteżonej pracy, – obojgu odpowiadałem tak opryskliwie i cierpko, że nieraz potem doznawałem w głębi ducha ciężkich, najcięższych wyrzutów.

Bo można mieć więcej, niż jedną żonę, więcej niżli jedno dziecko, i niejednego przyjaciela, ale jedną jedyną tylko matkę, jedynego ojca!

Więc trzeba ich szanować i czcią otaczać, póki żyją, modlić się do zmarłych.

Ale wróćmy się do rzeczy. Kiedyś oto, kiedy wracałem z pola, wiodąc do owczarni stado, zdaleka jeszcze dostrzegłem ojca, siedzącego przed domem, z listem w ręku.

Był to wypadek rzadki i niezwyklej wagi, gdyż właściwie wcale nie odbieraliśmy listów, z wyjątkiem tego, który zjawiał się regularnie w oznaczonym czasie, pisany przez plenipotentą i przypominający o uiszczeniu dzierżawy.

Przyśpieszyłem więc kroku i po chwili, zauważyłem, że staruszek płacze, co napełniło mię, pamiętam, przedewszystkiem, ogromnem zdumieniem, bo myślałem dotąd, że to wyłączna właściwość kobiet, – rzecz niepodobna dla mężczyzny.

Zbliżyłem się jeszcze więcej i nie umiałem oderwać wzroku od zmienionej i postarzałej nagle twarzy ojca. W poprzek lewego policzka biegła tak głęboka zmarszczka, że łyzy nie mogły jej widocznie przebyć i toczyły się powoli brzegiem, aż do ucha, skąd dopiero ściekały na papier.

Matka siedziała przy nim i w milczeniu gładziła jego rękę, jak czasem pieści się małe dziecko, chcąc je uspokoić.

Cicho stanąłem opodal.

– Jeannie – skarżył się boleśnie ojciec – Jeannie, kochana żono. Biedny Willie już nie żyje. Wszystko stało się tak nagle. Dlatego nie pisali. To był podobno antraks, a potem uderzenie krwi do głowy... Tak pisze mi prawnik.

– Więc skończyły się jego troski – pocieszała łagodnym głosem matka.

Ojciec otarł mokre od łez uszy, milczał chwilę, a potem odezwał się, o wiele już spokojniej:

– Oszczędności swoje zapisał naturalnie córce, a jeśli, czego niech Bóg broni, nie zmieniła się od tego czasu, kiedyśmy ją ostatni raz widzieli, – to nie na długo jej wystarczy. Czy pamiętasz, jak utrzymywała, że herbata u nas jest za słaba, mówiła to przecież o herbacie, której funt płaciłem po siedem shilling'ów!

Matka pokiwała w zamyśleniu głową i mimowoli spojrzała ku pościom słoniny, zwisającym od pułapu wielkimi płatami.

– Ten pan nie pisze, ile będzie miała – ciągnął ojciec dalej – zawsze jednak jest tam tego sporo, więcej może, niż potrzeba. I Edie zamieszka z nami, bo takim było ostatnie życzenie nieszczęśliwego mego brata.

– Więc musi płacić za swe utrzymanie – przerwała stanowczo matka.

W pierwszej uczyniło mi się dziwnie przykro, że można mówić o pieniądzach w takiej smutnej chwili, potem dopiero pomyślałem, że jednak matczyśko ma rację, bo West Inch zaledwie wystarczał na najskromniejsze potrzeby nas trojga, więc każdy większy wydatek, nie rachując już osoby tak rozrzutnej jak Edie, mógł przyczynić się do deficytu, a zatem w następstwie – i smutnego wyrugowania z dzierżawy.

– Naturalnie, że zapłaci – odpowiedział tymczasem ojciec nie znoszącym wątpliwości tonem.

– A przyjedzie dziś jeszcze. Jock'u, mój chłopcze – dodał, zwracając się do mnie, – zapręgnij do bryczki. Trzeba, żebyś zaraz wyruszył do Ayton. Zaczekasz tam na wieczorny dyliżans, zabierzesz Edie i przywieziesz ją tutaj, do West Inch'u.

I kwadrans po piątej siedziałem już na koźle, energicznie popędzając pocziwą Souter Johnnie, naszą klacz długowłosą i liczącą tylko – około piętnastu wiosen – i z dumą oglądając się na świeżo malowany wasąg bryczki, która służyła nam jedynie w wielkie uroczystości kościelne i rodzinne.

Dyliżans ukazał się właśnie, kiedy zajeżdżałem przed oberżę, i złożyłem wtedy dowód iście zdumiewającej inteligencji, bo, zapomniawszy o ubiegłych sześciu latach, z zapalem szukałem w tłumie przyjezdnych małej, czarniawej dziewczynki, w krótkiej, kolan nawet nie sięgającej, sukience.

A kiedy tak błądziłem z wytężonym wzrokiem i podaną naprzód szyją, ktoś dotknął nagle mojego ramienia, przede mną stanęła wysoka, żałobnie, lecz nadzwyczaj elegancko ubrana, młoda dama i oznajmiła, że – jest moją siostrą cioteczną, Edie Calder.

Wiedziałem to podobno, gdyby mi się jednak nie była przedstawiła sama, mogłem dwadzieścia razy minąć ją i nie poznać.

Jeżeli by zaś Jim Horscroft zapytał mnie wtedy powtórnie, czy jest ładna, z pewnością po raz drugi, nie umiałbym mu odpowiedzieć.

Była brunetką, i o wiele ciemniejszą, niż zdarzają się zwykle dziewczęta na naszym szkockim brzegu, a jednak poprzez te kruche włosy przewijał się miedziano-złoty odcień, podobny trochę do cudnej, cieplej barwy, jaką dostrzegamy w głębi płatków żółto-czerwonej róży.

Usta miała ponsowe i świeże, w twarzy malowała się stanowczość i zarazem dziwna słodycz, pod cienką skórą krążyła krew młoda, gorąca, a duże, czarne oczy patrzyły łagodnie i jasno, od pierwszej jednak chwili dostrzegłem w ich przepaścistych głębiach błędzący wyraz jakiejś złośliwej, figlarniej chytrkości.

Gdym stał tak przed nią i zachwyconym wzrokiem podziwiałem jej niezwykłą piękność, Edie obejmowała mnie tymczasem w kapryśne władanie, jakbym ja także był jakąś częścią świeżego dziedzictwa. Po prostu wyciągnęła rękę i zerwała mnie jak kwiat, którym zapragnęła się przystroić.

Wysmukłą postać okrywała żałobna, powłóczysta suknia, która mię wprowadziła w niekłamany podziw starannością wykończenia i oryginalnością formy, twarz przedtem osłaniał długi, krepowy welon, teraz w tył odrzucony i opływający ją czarną, lśniąca falą.

– Och! Jack'u... – szepnęła nagle, przeciągłym i obcym angielskiej mowie, akcentem, którego podobno nabyła na pensyi, – usuwając się i broniąc wypieszczonemi rączkami – nie, nie, Jack'u... za starzyśmy już chyba na to?...

Gdyż ja, z niezręcznością prawdziwego wiejskiego niezgrabiasza, zbliżałem do jej twarzy swoje ogorzałe policzki i chciałem ją pocałować jak uczyniłem wtedy, kiedyśmy się po raz ostatni widzieli...

Na krótką chwilę zapanowała między nami kłopotliwa cisza.

– Bądź tak dobry i daj konduktorowi shilling'a – odezwała się niespodziewanie Edie, podnosząc ku mnie oczy z niemą prośbą – on tak troskliwie opiekował się mną całą drogę...

Splonąłem jak wiśnia, a potem zbladłem, niby ściana, i coś ostrego ukuło mię w serce. W kieszeni miałem jeden tylko srebrny, czteropensowy pieniążek.

Nigdy nie odczułem braku mamony tak dotkliwie i boleśnie, jak w owej nieszczęsnej chwili. Kolana się pode mną zgięły...

Edie objęła mię szybkim spojrzeniem, potem twarz jej rozjaśnił dobry uśmiech i w milczeniu wsunęła mi do ręki zgrabną portmonetkę ze srebrnym zameczkiem.

Załatwiłem polecenie i chciałem oddać jej pieniądze, ale spotkał mię wzrok serdeczny i prawie błagalny:

– Będiesz moim intendentem, Jack'u – prosiła wesoło. – Czy to jest nasz „powóz?” Och, jaki zabawny! Gdzież usiądę?!

– Na tym worku – objaśniłem trochę niepewnym głosem.

– A jak się na niego dostanę?

– Oprzyj nogę na kole, pomogę ci z chęcią, – postanowiłem już śmieiej.

Jednym susem wskoczyłem do bryczki i ująłem małe, rękawiczką obciążone dłonie w swoje szorstkie ręce.

Edie zręcznie wspięła się do wózka i przez jedno krótkie mgnienie oddech jej był na mojej twarzy, oddech dziwnie gorący i słodki, a potem zaraz uczyniło mi się w sercu jasno, i owe nieokreślone smutki, owe ciężkie i dręczące myśli, pierzchły gdzieś bezpowrotnie i bez śladu.

I zdało mi się, że ta jedna chwila zabierała mię sobie niejako na własność, że już nie będę nigdy tym co dawniej, bo oto czyniła mię jakby członkiem, dojrzałem ogniwem, wśród całej rzeszy innych mężczyzn, moich towarzyszy, przyjaciół i braci.

Wszystko nie zajęło nawet tyle czasu, ile nasza pocziwa Johnnie zużyłaby na machnięcie swoim obfitym ogonem, a jednak... stało się i żadna siła nie cofnęłaby już tej przemiany.

Niewidzialne ręce zdarły mi oto zasłonę.

I ujrzałem się na progu życia szerszego, pełniejszego, słodszy, z głową pełną rojeń i szczęśnych snów o przyszłości.

Tu chmara myśli spadła na mnie, niby wiosenna ulewa, ale zarazem zmieszałem się okrutnie i nie wiedząc prawie, co robię, zacząłem gorliwie poprawiać i układać wygodniejsze dla Edie siedzenie.

Ona tymczasem goniła w zamyśleniu spiesźnie oddalającą się sylwetkę pocztowego dyliżansu, który z hałasem zawracał w stronę Berwick.

Nagle uniosła się trochę i z całej siły jąła poruszać białą, misternie haftowaną, chustką.

– Zdjął kapelusz... – szepnęła cicho i może nawpół bezwiednie – zdaje mi się, że to był chyba oficer. Wyglądał „dystyngowanie”. Czy go zauważyłeś? – pytała, pochylając się ku mnie – patrz, ten *gentleman* na imperyalu, w brązowym paltocie i bardzo, bardzo przystojny.

Potrząsnąłem przecząco głową i cała moja radość gdzieś od razu znikła, znowu uczułem gorzkość w ustach i zniechęcenie w duszy.

Przez długą chwilę było cicho.

– Co tam! Nie zobaczymy się już nigdy – ozwała się Edie z wesołym uśmiechem. – Ot, wjeżdżamy już między zielone pagórki, i ta droga brunatna, kręta, – wszystko zostało mi w pamięci. Jak tutaj nic się nie zmieniło! Ty nawet, Jack'u, prawie ten sam jesteś, co i dawniej. Tylko... śmiem żywić nadzieję... że postępowanie twoje ze mną ulegnie jakiejś takiej zmianie?... Myślę, że nie zechcesz ustanawiać całego królestwa żab za moim nieszczęsnym kołnierzem?...

Dreszcz zimny przebiegł moje ciało na samo wspomnienie tych dziecinnych figlów.

– Uczynimy wszystko, co będzie leżało w naszej mocy, byłeś się czuła szczęśliwą w West Inch'u – odparłem drżącym głosem i z uwagą przyglądając się sznurkom biczyska.

– Wielka to z waszej strony dobroć, że zgadzacie się przyjąć do siebie biedną, opuszczoną przez wszystkich dziewczynę – rzekła Edie cicho.

– Ty jesteś dobra, żeś chciała przyjechać – przerwałem wzruszony. – Obawiam się tylko, że wyda ci się u nas trochę smutno i nudno, a przede wszystkim monotonnie.

– Wiedziałam o tem, Jack'u, – uspakajała mię łagodnie. – Znam przecież to ciche życie. Sąsiadów nawet niema, o ile pamiętam?

– Owszem, jest major Elliot – zaprzeczyłem ze szczerą radością. – Mieszka niedaleko, w Corriemuir, i często całe dnie spędza u nas, Stary to wprawdzie, ale dzielny żołnierz, – pod Wellingtonem otrzymał postrzał powyżej kolana...

– Ależ, mówiąc o sąsiadach, nie miałam przecież na myśli staruszków, którzy przechowują w kolanach zaszczytnie otrzymane kule – zaśmiała się wesoło Edie. – Myślałam o ludziach w naszym wieku, z którymi można się przyjaźnić! Ot, na przykład, ten stary, zgryźliwy doktor – miał zdaje się, syna, nieprawdaż?

– A jakże! Nazywa się Jim Horscroft i jest moim najlepszym przyjacielem.

– Czy tu mieszka?

– Nie, ale przyjedzie wkrótce. Studjuje medycynę w Edynburgu.

– Pamiętaj, Jack'u, że chciałabym ci dotrzymywać towarzystwa, zanim on przyjedzie – szepnęła dziewczyna miękko, a mnie znowu radość zalała duszę cichą falą. – Ale dziś jestem okropnie zmęczona i pragnę jaknajprędzej znaleźć się w West Inch'u.

Śmignąłem starą Johnnie batem i nie dawałem spokoju, aż póki nie puściła się klusem, co nie zdarzyło jej się nigdy przedtem, ani potem.

W godzinę później Edie siedziała już za stołem, nakrytym do wieczerzy.

Matka nie tylko postawiła przed nią masło, ale nawet galaretę z porzeczek w pięknej, szklanej salaterce, która w świetle świecy mieniła się wszystkimi kolorami tęczy i wyglądała bardzo uroczyście.

Przytem nie minęło i pół pacierza, kiedy już zdążyłem zauważyć nieme zdumienie rodziców na widok zmian, zaszłyh w dawnej, i tak już eleganckiej, Edie, zdumienie, różne jednak zupełnie od tego, któremu ja doświadczałem, a które było rodzajem czci pokornej i tem silniejszego pociągu, im zdawała się w niedościglejszych dla mnie przebywać, wyżynach.

Matkę, na przykład, tak usposobił dziwny wąż z drobnych piórek, który otaczał jej szyję, że mimowoli mówiła do niej miss Calder, zamiast po prostu Edie, a wdzięczne lichy wygrażało jej paluszkami, ilekroć odezwała się w ten sposób.

Po kolacyi, kiedy dziewczę oświadczyło, że czuje się zmęczone i odeszło do swojej sypialni, – oboje rodzice nie umieli rozmawiać o niczem, tylko o pięknej, czarnowłosej siostrzenicy, jej eleganckiem obejściu i wysokiem wykształceniu.

Nagle ojciec się zasępił.

– Wszystko to prawda – szepnął trochę gorzko i jakby z mimowolnym wyrzutem. – Ale wygląda mi na lekkomyślną. Śmierć mego brata nie rozkrwawiła jej zanadto serca.

Po raz trzeci dnia tego uczułem ból ostry w okolicach serca, i zimny, przejmujący chłód w piersiach. W myśli stanęły mi wszystkie jej słowa i nie znalazłem wśród nich żadnego, któreby dotyczyło niedawnej przeszłości i świeżo utraconego ojca...

Rozdział trzeci. Cień na wodach

Piękna Edie nie potrzebowała wiele czasu na zagarnięcie pod swe czarodziejskie berto wszystkich mieszkańców West Inch'u, nie wyłączając nawet ojca. Królowała, niby dumna władczyni wśród wpatrzonych w każde skinienie poddanych.

Sypała przytem pieniędzmi, za wszystko płaciła, jak żądano, żadne z nas jednak nie wiedziało, czy i kiedy ukaże się dno tych niewyczerpanych niby skarbów.

Skoro matka jej oznajmiła, że cztery shilling'i tygodniowo w zupełności pokryją wszystkie jej osoby tyjące, wydatki, – Edie dobrowolnie podniosła tę sumę do wysokości siedmiu shilling'ów i sześciu pensów.

Pokój od południa, najśłoneczniejszy i którego okno całe tonęło w zieleni pnących roślin i bladoróżowych powojów, wspaniałomyślnie i jednogłośnie został przeznaczony dla niej, a po kilku dniach, kiedy przyozdobiła go mnóstwem ślicznych, w Berwick zakupionych, drobiazgów, przybrał zupełnie inny, elegancki i „kunsztowny” wygląd.

Do miasteczka jeździła regularnie dwa razy na tydzień, ponieważ zaś nasza pocziwa Johnnie i starożytna bryczka nie przypadły jej jakoś do gustu, więc wynajmowała w tym celu piękny gig Angus'a Whitehead'a, który zamieszkiwał duży folwark po drugiej stronie zbocza, więcej w głąb od brzegu.

I nie zdarzyło się chyba nigdy, by powróciła bez jakiejś drobnostki, którą ofiarowywała potem z radosnym uśmiechem. To przywoziła zgrabną fajeczkę dla ojca, to ciepły pled szotlandzki dla matki, książkę dla mnie, albo piękną obrożę dla Rob'a, naszego owczarka.

Nie wiem, czy kiedykolwiek pod słońcem żyła rozrzutniejsza od Edie kobieta.

Co jednak nam dawała najlepszego, to swoją obecność, – radość, wesołość i światło.

Dla mnie zmieniała świat cały.

Słońce świeciło teraz jaśniej, wzgórza okryły się piękniejszą zielonością, od morza szedł ożywczy, słony powiew, powietrze stało się przezroczyste i jakby bardziej błękitne...

Nasze dotychczasowe życie straciło swoją pospolitość, odkąd dzieliliśmy je z tą delikatną istotą, zgrzybiały, szary, posępny dom ojcowski przyoblekł jakiś świąteczny, uroczysty wygląd, słowem, pojaśniało wszystko od dnia, w którym jej stopy dotknęły naszego ubogiego progu.

Nietylko piękna twarz Edie czyniła te cudy, nie uroda, choć należała do najpowabniejszych, ani kibić i jędrne, młode kształty, chociaż nie znałem dziewczyny, która mogłaby się pod tym względem z nią porównać.

Ale przede wszystkim jej sposób bycia, figlarne i trochę przekorne ułożenie, dziwna umiejętność prowadzenia „przymilnej” rozmowy, przede wszystkim swoboda i dumne ruchy i wdzięk nieprzeparty, z jakim odrzucała suknię, lub pochylała ciemną głowę, wdzięk nieokreślony w każdym słowie, każdym czynie i w każdym spojrzeniu...

I czuliśmy się niby proch pod jej stopami.

A przeciągły, wymowny i trochę proszący wyraz czarnych oczu i serdeczne, ciepłe słowa dźwigały pokornych i wiodły w zawrotny wir wyżyn.

Niepodobna było jednak dosięgnąć tych szczytów.

Dla mnie pozostawała zawsze istotą niedościągłą, nieskończenie daleką, i królewsko dumną.

Nigdy nie umiałem pozbyć się tego uczucia, nigdy, pomimo przykrości, jaką mi to sprawiało i najkunsztowniejszych rozumowań.

Cokolwiek przemyślałem, nie mogłem jednak uznać, że ta sama krew płynęła i w jej żyłach, że była właściwie moją cioteczną siostrą i wieśniaczką, tak jak ja wieśniakiem.

Im więcej też ją kochałem, tem większą mię napełniała nieśmiałość, i obawą, ona zaś spostrzegła to o wiele wcześniej, niż domyśliła się pierwszego...

Kiedy byłem zdaleka, doznawałem dziwnego podniecenia i krew szybciej obiegała moje młode ciało, skoro zaś znaleźliśmy się razem, milkłem i drżałem tylko z trwogi, żeby jej nie obrazić jakim nieopatrzem słówkiem, nie naprzykrzyć się sobą, nie rozdrażnić.

Gdybym wtedy znał głębiej naturę niewieściami, nie dręczyłbym się tak może napróżno, a z pewnością umiałbym lepiej wykorzystać chwile.

– Ogromnie zmieniłeś się, Jack'u, zupełnie niepodobny jesteś do dawnego – oznajmiła mi kiedyś Edie, przeciągle patrząc z pod rzęs czarnych i prześlicznych.

– Co innego mówiłaś, skorośmy się przywitani – zauważyłem zmienionym, któremu jednak usiłowałem nadać obojętność, głosem.

– Mówiłam, bo miałam na myśli po prostu twój wygląd, a teraz uderza mnie twoje dziwne zachowanie. Wtedy byłeś ze mną despotyczny i szorstki i wszystko robiłeś po swojemu. Taki prawdziwy, mały mężczyzna. Pamiętam jeszcze te, wiecznie potargane, włosy i oczy, pełne złośliwości i coraz to pomysłowszych figlów! Dziś jesteś melancholijny i jakby trochę senny, z ust twoich płyną słówka miodowe...

– Każdy się z czasem wyrabia – przerwałem, cały drżący.

– Tak... ale... wołałam ciebie takim, jakim wtedy byłeś – szepnęła bardzo cicho.

Ogarnełem ją szybkim spojrzeniem. Myślałem zawsze, iż dotąd jeszcze nie przebaczyła mi dawnego traktowania.

Bo, żeby tego rodzaju „sposób bycia” mógł przypadać do smaku komu innemu, niż osobnikowi zbiegłemu z domu waryatów (bo tak przedstawiały mi się dzisiaj dawne moje figle), to już stanowczo przechodziło zakres mej inteligencji.

I nagle stanął mi w oczach czas, w którym zastawszy ją, naprzykład, na progu, z książką na kolanach, umieszczałem na końcu giętkiego, leszczynowego pręcika drobne kuleczki gliny i poty w nią ciskałem, póki nie wybuchnęła płaczem.

Albo, schwytawszy w potoku Corriemuir największego, jakiegom mógł upolować, węgorza, ścigałem ją z tym węgorzem w rękę, z taką zaciekłością, że, nawpół martwa ze strachu, wpadała do kuchni, biegła do kolan mej matki i kryła się pod jej zbawczym fartuchem, ojciec zaś wymierzał mi potężne uderzenie warząchwią, albo czym miał pod ręką, zwykle w ucho, które – razem z węgorzem – odrzucało mnie gdzieś, aż pod kredens...

Więc tego żałowała?...

A zatem będzie musiała się obejść, bo prędzej uschłaby mi ręka, nim popełniłbym znowu którąś z dawnych okropności.

Wtedy także po raz pierwszy uchwyciłem wątek i dostrzegłem charakterystyczny rys dziwnej, niezrównoważonej, natury kobiecej, i przyszła mi do głowy myśl genialna, że mężczyzna nie powinien zapuszczać się w żadne, karkołomne na temat ów, dociekania, a tylko mieć się na baczności i usiłować uczyć się, uczyć się, uczyć...

I przez chwilę znaleźliśmy się wreszcie na jednym poziomie, mianowicie, skoro oświadczyła, że zawsze robi to tylko, co jej się podoba i jak się jej podoba. Potem dodała z figlarnym uśmiechem, że jednak nie byłoby to nieprzyjemnie mieć mnie tak na swoje usługi, jak naprzykład Rob jest posłuszny na głos rozsądku, objawiający mu się przez usta pewnego młodzieńca...

Tu każdy pomyśli, że jednak byłem kapitalnie głupi, pozwalając wodzić się pięknej dziewczynie na pasku.

I może w tem znalazłoby się ziarno prawdy, należy przecież pamiętać, iż wtedy nie znałem żadnych prawie kobiet, z tą zaś spotykałem się pod jednym dachem.

Na głębsze usprawiedliwienie swoje dodam jeszcze, że Edie – jako rodzaj – rzeczywiście była niezwykłą rzadkością, przytem, mogę z czystym sumieniem zapewnić, iż miała „mocną głowę” i ujarzmiła po mistrzowsku.

Naprzykład major Elliott.

Człowiek ten pochował trzy żony i uczestniczył w dwunastu walnych bitwach.

Tymczasem Edie mogłaby owinać go koło swojego paluszka, – niby mokrą szmatkę, – Edie, siedemnastoletnia dziewczyna, która zaledwie opuściła pensję.

Jakoś wkrótce po jej przyjeździe spotkałem starego, wychodzącego z naszego folwarku. Szedł powoli i kulał, jak zwykle, jednak policzki dziwnie miał rozróżnione i nowy migotliwy błysk w oczach. Wyglądał o dziesięć lat młodziej.

Raz po raz podkręcał siwe wąsy, aż nastawił je w końcu niby szydła, prawie na linii oczu, a zdrową nogą stukał z taką butą, jakby conajmniej stawał do gry w *foot ball*.

Co ona mu powiedziała?

Jeden Bóg tylko wiedział, przecież niedobre przeczucie ścisnęło mi serce i w głowie jęło szumieć, jak po starem winie.

– Koniecznie chciałem się z tobą zobaczyć, mój chłopcze – odezwał się major rzeźko – ale już późno i będę musiał wracać. Nie żałuję jednak trudu, gdyż miałem sposobność poznać *la belle cousine*, najbardziej zachwycające, najpowabniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek widziałem, mój kochany!

Styl miał ceremonialny i trochę szorstki, a przytem zwyczaj wtrącania kiedy niekiedy wyrazów francuskich, które pozbierał w wyprawach swoich po szerokim świecie.

Zaczął z zapalem opowiadać coś o Edie, ja zaś słuchałem jak na rozżarzonych węglach, gdy nagle dostrzegłem wyglądający mu z kieszeni róg gazety.

Uczyniło mi się nieco lżej na sercu, wiedziałem już powód wizyty, staruszek chciał, jak zwykle, podzielić się wiadomościami z wojny.

W West Inch'u trudno było o dzienniki.

– Co słyhać nowego, majorze? – spytałem zaraz, rad, że mogę zmienić drażliwy dla mnie temat.

Wyciągnął gazetę z kieszeni i wstrząsnął nią tryumfalnie.

– Sprzymierzeni wygrali wielką bitwę, mój kochany – oznajmił z radosną dumą. – Myślę, że Nap niedługo już wytrzyma! Saksończycy go wyrzucili, pod Lipskiem doznał niepowodzenia, co się zowie! *C'est parfait*, drogi chłopcze. Wellington tymczasem przebył Pireneje, a pułki Graham'a dotrą w krótkim czasie do Bayonne'y.

Wyrzuciłem z uniesieniem kapelusz w powietrze.

– Więc wojna nareszcie się skończy?! – zawołałem głośno.

– Wielki czas na to – odparł major z niezwykłą powagą. – Morza krwi wytoczono. I myślę, że może nie warto wspominać ci o tem, co tłukło mi się po głowie ostatnimi czasy?

– Co takiego? – podchwyciłem niespokojnie.

– Przychodziło mi na myśl, że nic tu właściwie nie robisz – zaczął zwolna – ponieważ zaś moje kolano nabiera potrosze dawnej sprężystości, zapragnąłem wstąpić znowu w służbę czynną. I zapytywałem się w duchu, czy nie pociągnęłaby cię perspektywa obozowego życia pod rozkazami starego majora?

Krew nabiegła mi do piersi gorącym strumieniem.

– Och! Jakżebym chciał tego! – wyrwało mi się z głębi duszy.

– Liczę, że upłynie jeszcze około sześciu miesięcy, zanim będę dostatecznie zdrow na pomyślne odbycie oględzin komisji lekarskiej, z drugiej znów strony prawdopodobnem jest, że Boney do tego czasu zostanie już sromotnie pokonany, gdyby jednak...

– Ale matka – przerwałem zmartwiony. – Pewno nie zechce mię puścić?

– Nie będziemy się pytali! – oznajmił staruszek szorstko.

Kiwnął mi głową i oddalił się, kulejąc mocno.

Ja zaś zaszyłem się w krzaki i ukrywszy twarz w rękach, jałem rozmyślać o tem, co mi powiedział major, o słowach, które ukazywały mi nowe, jeszcze inne światy. Sylwetka Elliotta tymczasem malała i majaczyła daleko, prawie na zakręcie drogi, niby duża, brunatna plama, wiatr

rozwiewał mu z wściekłością poły płaszcza i uderzał o pled rzucony przez ramię, on zaś powoli i z widocznym wysiłkiem piał się po stromem zboczu skalistego wzgórza.

I przez chwilę ten schorowany, stary, a przecież rwący się do czynu człowiek, wydał mi się jakąś tytaniczną, olbrzymią postacią, a moje własne życie na folwarku lichem i nędznym i nic wartem.

Spokojniem po prostu czekał, aż zastąpię ojca, na tych samych siwych piaskach, na tem samym zboczu i przy tym samym, leniwie płynącym strumyku, i zawsze będę pał owce, zawsze wzrok mój zatrzymywać się będzie na tym pochylonym trochę zapadniętym domu ojców i praojców.

Albo na ciemnobłękitnych fałdach wiecznie szumiącego morza.

Ot, życie dla młodego, zdrowego mężczyzny!

A major, pochylony wiekiem, z dolegającą bezustannie i otwierającą się niekiedy, raną, ten umiał roić śmiałe plany i pragnął przyłożyć się do spraw ogólnych, – ja tylko, w pełni sił fizycznych, – dobrowolnie ztracałem się wśród gnuśnych wzgórz!

Twarz moją oblały płomień palącego wstydu i jednym susem zerwałem się z ziemi, pełen gotowości do odjazdu, z mocnem postanowieniem wyzyskania sił wszystkich dla ojczyzny.

Przez dwa dni nie umiałem myśleć o czem innym.

Trzeciego zaszło coś, co umocniło mię jeszcze w tych planach, a potem starło w proch wszystkie, na podobieństwo wiatru, rozwiewającego najtęższe nawet kłęby dymu.

Edie i ja z nierozłącznym Rob'em wybraliśmy się właśnie na codzienną popołudniową przechadzkę...

Wkrótce znaleźliśmy się na najwyższym cyplu pochyłości, zstępującej zwolna na otwarty i płaski brzeg morski.

Jesień już się kończyła.

Jak okiem sięgnąć, wzrok napotykał tylko trawy, przywiedle, przykurzone i nawpół brunatne, słońce świeciło jednak jeszcze jasno i kładło na nas swoje gorące promienie.

Od południa szedł wiatr palący, a urywane, krótkie jego oddechy marszczyły nieskończone obszary morza, przewalające się nam pod stopami.

Prędko nabierałem chrusu i urządziłem dla Edie królewskie siedzenie. Rzuciła się na ów stos brunatnych gałązek zwykłym swoim, niedbałym trochę, ruchem, i z twarzą pełną uśmiechów, bo namiętnie lubiła ciepło, słońce i światło.

Ja zaś przysiadłem u jej stóp, w trawie. Po chwili Rob przyczołgał się także i złożył kudłatą głowę na moich kolanach.

Nad nami było tylko niebo i wielka, niezmacona cisza, a jednak i tutaj ów cień złowieszczy nie dał nam spokoju, bo nagle nad wodami zwisała groźna mara **tamtego** człowieka, tego, który imię swe wypisał krwawymi zgłoskami na kartach Europy, i na lądach całego prawie świata.

W oddali, na morzu pojawił się jakiś statek.

Zdaje się, że był to stary okręt handlowy o zwykłym, spokojnym wyglądzie, prawdopodobnie dążący do Leith.

Dostrzegaliśmy wyraźnie pokład, duże, czworoboczne reje, – wszystkie żagle były rozwinięte.

Minęła krótka chwila i z przeciwnej strony, od północo-wschodu ukazały się nagle dwie wielkie kropy, robiące wrażenie pospolitych, kupieckich statków, każda z ogromnym masztem i dużym, czworokątnym żaglem ciemnej, brunatnej barwy.

Z przyjemnością patrzyliśmy na owe trzy okręty, sunące wyciągniętym sznurem, i żwawo prujące fale, wśród których przejście ich znaczyła srebrno-biała smuga.

Wtem z jednego z owych kupieckich statków buchnął krwisty płomień, a zaraz potem kłęb czarnego dymu.

Z drugiego również wypełził wężyk ognia.

Okręt handlowy odpowiedział przeciągłym trzeszczeniem, niby żalosnym jękiem.

I w mgnieniu oka piekło przesłoniło jasne niebo, i na cichych niedawno wodach rozpasła się nienawiść: okrucieństwo i wszelkie, krwi spragnione namiętności.

Zerwaliśmy się, zanim dobiegł nas jeszcze pierwszy grzmot wystrzałów i Edie, cała drżąca, oparła się o moje ramię.

– Oni się biją, Jack'u! – krzyknęła z przestachem. – Kto są ci ludzie? Kto to?!

Bicie mego serca wtórowało hukom armat, i dysząc ciężko, prędkim, urywanym głosem, jałem szeptać:

– Są to dwaj korsarze francuscy, dwa sprawne dwumasztowce, – *chasse-marée* – nazywają je tam, na południu. A ten, to któryś z naszych okrętów handlowych, – i – jak prawda żeśmy śmiertelni, – tak ulegnie tym zbójom z pewnością. Major opowiadał mi kiedyś, że statki ich zaopatrzone są zawsze w doskonałą artylerię i tego obsadzone w ludzi. Ach! czemuż nasi nie cofają się za wały, broniące ujścia Tweed'y?!...

Bo napadnięty okręt nie myślał zwijać żagli.

Przeciwnie, kołysał się dumnie na falach, potem coś ciemnego poruszyło się u szczytu masztu i po chwili zwiśla nasza narodowa flaga i jęła trzepotać się w słońcu.

A potem znowu huknęły armaty i usiłowały zgłuszyć kanonadę z wielkich dział, których paszcze czerniały na statkach korsarskich.

W chwilę później trzy okręty starły się tak blisko, że zdawały tworzyć jakby jedną, ciemną, pokłębioną masę.

Statek handlowy mknął ciągle niby jeleni, ścigany przez dwa wilki, czepiające mu się bioder.

A nad wszystkimi kłębił się dym czarny i przesłaniał zwartym, złowrogim tumanem. Kiedy niekiedy tylko ukazywały się wśród niego maszty, żagle, reje, albo błyskały języki płomieni i pięły się wyżej i wyżej...

Aż uczynił się tak piekielny hałas, taki huk nieprzerwany dział i armat, splątany z jakimś ogłuszającym wyciem, okrzykami radości i bezustannym prawie jękiem, że echo tych świstów i zgrzytów dźwięczało mi potem w uszach przez długie tygodnie.

Godzinę przeszło trwała bitwa, godzinę już dymy i błyski biegały po morzu, a my patrzyliśmy ze ściśniętym sercem na chwiejącą się ciągle banderę, co chwila przymykając oczy i bojąc się je potem otworzyć, – z obawy, czy dostrzeżemy ją jeszcze u szczytu. Ale kołysała się bez przerwy.

A potem od ciemnej, skłębionej plamy odciął się statek o dużych, czworokątnych rejach, dumniejszy jeszcze i bardziej niewzruszony, niż przed bitwą, okopcony, czarny – i puścił się w dalszą drogę.

Kiedy zaś dymy rozwiały się cokolwiek, ujrzelśmy jednego z korsarzy, z pochylonym naprzód dziobem, niby zanurzająca się w wodę kaczka ze złamanym skrzydłem, – szybko pograżającego się w morze, drugi co tchu na własny pokład przesadzał załogę, i temu widać groziło niebezpieczeństwo wciągnięcia w wir, który tworzył się już koło przebitego statku.

W ciągu tej krótkiej godziny przeżyłem pół wieku i całą duszą brałem udział w bitwie.

Wiatr porwał mi gdzieś czapkę, ale nawet tego nie zauważyłem.

Z przepełnionym sercem zwróciłem się teraz do Edie, i nagle mi się zdało, żeśmy ci sami, co przed sześciu laty.

Patrzyła nieruchomo przed siebie, usta miała rozchylone, jak dawniej, jak wtedy, drobne ręce zaplotła tak mocno, że skóra na wypukłościach złociła się, jakby wyrzeźbiona ze słoniowej kości.

– Co za kapitan! – szepnęła, błędząc wzrokiem po zielonych zaroślach i żółtych janowcach, – co za odwaga, jaki dzielny człowiek! Której z kobiet nie napęliłoby dumą posiadanie takiego małżonka?

– Świetnie sobie poradził, nieprawdaż!? – pytałem z dziecinną radością.

Edie objęła mnie nagłem spojrzeniem. W oczach jej czytałem, iż zapomniała, że tu jestem.

– Dałabym rok życia, gdybym mogła spotkać takiego człowieka – ciągnęła, nie zwracając uwagi na mój niezręczny wykrzyknik. – Ot, co znaczy mieszkać na wsi. Widuje się tylko ludzi, którzy nie potrafią nic lepszego, jak grzebać się w ziemi, albo pasać owce.

Nie wiem, czy chciała mię dotknąć umyślnie, – nigdy jej nie trzeba było o to prosić, – jednak bez względu na intencję, – słowa jej zraniły mię tak boleśnie, jakby kto gorącym żelazem przemknął po odkrytym nerwie.

– Dobrze mówisz, Edie – podchwyciłem, usiłując mowie swej nadać niewzruszony spokój. – To, coś wyrzekła przed chwilą, umacnia mię tylko w powziętem dawniej już postanowieniu. Tego wieczora jeszcze zaciągnę się do pułku, stojącego w Berwick.

– Doprawdy, Jack'u? Zostaniesz żołnierzem! – spytała prędko, z uśmiechem.

– Tak, jeśli rzeczywiście wierzysz, że każdy, pędzący życie na wsi, jest nic nie wart.

– Jak tobie ładnie będzie w czerwonym mundurze! – wykrzyknęła, głuszac ostatnie moje słowa. – I zupełnie inaczej wyglądasz, kiedy się rozgniewasz. Chciałabym zawsze w twoich oczach dostrzegać te błyski! Teraz jesteś przynajmniej mężczyzną! Tylko... wiem doskonale, że... otem wojsku, to żarty.

– Zobaczysz, czy żartuję.

I nie patrząc już na nią, pędem puściłem się po pochyłości, pędem przebyłem drogę i wpadłem, jak wicher, do kuchni. Matka i ojciec siedzieli, jak zwykle, każde po przeciwnej stronie wielkiego komina.

– Matko, mammo! – wołałem od proga. – Jadę dziś jeszcze, zostaję żołnierzem.

Gdybym im powiedział, że będę złodziejem, nie wiem, czy mogliby okazać się więcej zmiażdżeni, bo w owych odległych czasach, nieufni i względnie w niezłym bycie, pozostający wieśniacy, mniemali, że wszelakie „owieczki” sierżantów, no i wogóle wojsko, składają się przede wszystkim i głównie ze szpiegów.

A jednak te zastępy na obronę poświęconych ludzi niejedno nieszczęście odwróciły od ojczystej ziemi i zapisały niejedną chlubną kartę angielskiej historii.

Matka w milczeniu poniosła swoje mitenki do oczu, ojciec przyoblekł twarz w tak straszną grozę, iż minutowo uczułem mróz w kościach.

– Chyba zwaryowałeś, Jock'u – przemówił surowo.

– Ani mi się nawet śniło. Dziś odjeżdżam.

– Odmówimy ci błogosławieństwa!

– Trudno. Muszę się obejść – burknąłem opryskliwie.

Teraz matka krzyknęła głośno i zarzuciła mi ręce na szyję.

O twarz moją otarła się dłoń zniszczona, gruba, pełna blizn i zmarszczek, które pofałdowały zwolna trudy, podejmowane niegdyś koło mego wychowania, – i przemawiały wymowniej, niż najwymowniejsze słowa.

I naprawdę kochałem ją niezmiernie, jednak postanowienie moje było z tych, co są twarde jak ostrze krzemienia.

Pocałunkami zmusiłem ją do zajęcia poprzedniego miejsca, i uciekłem do swego pokoju, z niezłomnym postanowieniem natychmiastowego spełnienia swych planów.

Czyniło się już ciemno, a czekał mię przecież porządny szmat drogi.

Zebrałem też pośpiesznie niewielki węzelek i gorączkowo ruszyłem ku wyjściu. Lecz w chwili, kiedy zamierałem wymknąć się bocznymi drzwiami, ktoś delikatnie dotknął mojej ręki.

Obejrzałem się, – tuż przy mnie stała Edie, cała różowa od krwistych łun zachodu.

– Dzieciaku, – odezwała się z dziwnym uśmiechem, – dzieciaku, – nie jedziesz chyba naprawdę?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.